GONIEC TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 17 Lutego / 1 Marca 1877 r. № 9.



Marya Deryng.

MARYA DERYNG.

Przypomnijcie sobie, czytelnicy, ową uroczystą chwilę, w której młoda artystka, jako Małgorzata Goethowska, w ostatnim obrazie Fausta, w niespokojnym a dręczącym śnie pogrążona, naraz zrywa się z więziennego posłania, z konwulsyjnym dreszczem rozpaczy i boleści...

Ten jeden ruch, pełen prawdy i siły, niezawodnie pozwolił wam zastosować mądrą maksymę: *ex ungue leonem*... Poznaliście odrazu, że artystka która debiutowała poraz piérwszy na scenie warszawskiéj, pomimo iż zawarła swój występ w ciasnych ramkach jednego obrazu, potrafi jednak ujmować, podbijać i zachwycać...

Istotnie téż tak się stało.

Przeciągły oklask był zasłużoną odpowiedzią, która znaczyła: masz talent, zapał, siłę; gra twoja z serca idzie i z prawdy, a występ twój dzisiejszy jest tryumfem.

W grze artystki złożone były wszystkie dodatnie pierwiastki istotnie dramatycznego talentu. Odczuła to publiczność, zrozumiała dyrekcya teatrów, a mimo to że panna Deryng tylko w tym jednym obrazie Fausta dowiodła swojéj siły, w rok późniéj zaangażowano ją na scenę tutejszą, któréj téż wkrótce stała się ozdobą i podporą.

Zanim się to stało, młoda artystka przez lat parę pracowała we Lwowie. Zwykłą koleją artystycznéj karyery, nieodrazu trafiła ona na właściwą dla swojego talentu drogę. Młodość wczesna wskazała jéj pole popisu w rolach naiwnych. Kilka ról takich odegrała z powodzeniem, które ją uczyniło ulubienicą sceny lwowskiéj. Przypadek dopiéro wykazał, że w młodéj piersi kryje się iskra gorętszego zapału, że po za naiwnością dziéwczęcia z „Pożaru w klasztorze,“ „Radców pana radcy“ i w. innych, panna Deryng posiada warunki konieczne do gry wysoce dramatycznéj, i że dopiéro w dziedzinie dramatu i tragedyi znajdzie się ona na stanowisku właściwém.

W r. 1873 młoda artystka, szczęśliwym zmuszona trafem, wystąpiła w roli Wacława w „Drahomirze“ obok Rakiewiczowéj. Występ ten zwrócił na nią uwagę wszystkich. Siła gry, przejęcie się dramatycznym nastrojem roli, ogromny zapał, dykcya wysoce szlachetna... wszystko to znalazło się jakby na zawołanie, i odtąd p. Deryng z ról naiwnych przerzuciła się stanowczo na pole dramatu. Ofelia, Małgorzata, Ludwika Schillerowska, Kordelia w Learze, Joanna d'Arc... znalazły w jéj grze wszystkie objawy scenicznego życia, w którém, po za prawdą realną, tętniała siła zapału artystycznego, płynąca z poezyi, jaką ta artystka nosi w swéj duszy.

Scena warszawska zawdzięcza pannie Deryng wiele świetnych chwil, chociaż działalność jéj u nas krótką była dotąd. Wszystkie prawie dramaty, przedstawione od roku, przy jéj współudziale grane, w grze jéj świetnéj i gorącéj odnajdywały niemałą część swego powodzenia. Ludwika (Intryga i miłość), Henryka Laroque, Panna de Belle Isle, Desdemona, ożywione jéj zapałem, wywoływały grzmot oklasków rozentuzyazmowanéj publiki. Jako Julia Szekspirowska, artystka stanęła na wyżynie swojego zawodu, a był to tryumf niełatwy, gdyż piérwéj rolę tę grywała Modrzejewska. Julia przecież panny Deryng ukazała się inną, odmienną, mniéj idealną, ale gorętszą za to, więc bliższą téj prawdy, jaką chciał przedstawić genialny dramaturg angielski. Ostatni świetny występ panny Deryng w *Hrabinie de Somerive* ujawnił téż niepospolite odczuwanie realnych warunków żywéj natury, którą artystka widocznie wzięła za ideał do osiągnięcia w grze, na drodze zapału, szczerości i poetycznych uniesień.

Ostatnie to zdanie nasze mogłoby wystarczyć za pobieżną charakterystykę téj gry wrzącéj, dzielnéj, porywającéj, która jednakże miéwa chwile widocznego słabnięcia, chwile nierzadkie, a będące logiczném następstwem talentu wrodzonego artystki. Powiedzieliśmy że nosi ona poezyą w głębi duszy, i jako poetka artystka, pozwala się unosić, rozpromieniać i goreć swojéj grze, ilekroć dla zapału swego znajduje w roli odpowiedni żywioł. Jeżeli się jednak trafi w téj saméj roli moment obojętny, przejściowy, jak łącznik pomiędzy chwilami uniesień i porywów—dzielna artystka chłodnie, przymus w grze jéj wydatnieje, a rutyna, niezdobyta jeszcze przez krótkie lata działalności, nie umié go zamaskować.

Panna Deryng, w obmyślaniu całości roli, w przeczuwaniu utajonych w niéj potęg dramatycznych, w ujawnianiu ich wreszcie z porywającą siłą zapału jest artystką już dzisiaj pierwszorzędną. Brak jéj tylko doświadczenia scenicznego, które przychodzi z latami. Nabędzie je, prędzéj lub późniéj, a wówczas...

Lecz... wróżby nie należą do nas! Przyszłość przyniesie plon pracy, wieńce i kwiaty, uznanie i ów czar upojenia artystycznego, który jest największą rozkoszą dusz wybranych.

My chwytamy skwapliwie każde uniesienie artystki, każdy objaw jéj wrzącego zapału, każdy wykrzyk jéj głębokiego uczucia, ceniąc w niéj nad wszystko tę artystyczną szczerość, z jaką ożywia przedstawiane przez się postacie. Dla téj szczerości i prawdy brak rutyny scenicznéj darujemy jéj najchętniéj, gdy go tak bardzo hojnie okupuje siłą talentu i gry.

St. M. Rz.

Nieszczęśliwa dziewczyna!

Ma oczęta — z turkusów,
I kędziory — z bursztynu,
A ząbeczki — perłowe,
I usteczka — z rubinu!

Płeć ma białą, liljową,
A na liczku dwie róże,
I gors pełny, kowany
W kararyjskim marmurze.

Rączki, nóżki ma sylfie
A zgrabniuchna jak sarna,
Szczebiotliwa jak ptaszka,
A jak kotek figlarna.

Mówią ludzie powszechnie
Że przy duszy anielskiéj,
I gołębiem serduszku
Ma rozumek djabelski.

Co za śliczna dzieweczka!
Żalem pierś mi się wzdyma
Na myśl że ta biedaczka...
„Tak zupełnie nic nie ma!“

Chochlik.

BUKIECIK FIJOŁKÓW.

NOWELLA.

(*Dokończenie*).

Osłupiał. Uczuł się w położeniu człowieka tonącego... bez ratunku. Gdyby miał brzytwę pod ręką, byłby ją niezawodnie schwycił, aby się przy jéj pomocy na wierzch wydostać. Brzytwy nie było; był tylko fatalny list, którego różowa barwa przybiérała w oczach załapanego męża czerwoność krwi. Stał milczący, z roztwartemi na poły usty, z oczami w bilecik wlepionemi, z ręką wyciągniętą, ale wstrzymaną w połowie ruchu...

— Weź-że, co twoje — rzekła zwolna pani Helena, patrząc mu w oczy z wyrazem ironii i pogardy. — Jeżeli

zdradzasz żonę, bądź słownym... przynajmniéj... dla kochanki. Nie zapominaj że godzina umówiona niezadługo. A radzę ci też, dokup jeszcze do téj kolii broszę i kolczyki, bo jeżeli dar wzgardzonym został, to tylko dlatego, iż był... nie dość hojnym.

Skończywszy mówić, pani Helena lekkim ruchem rzuciła list pod nogi męża i odwróciła twarz bladą od wzruszenia w stronę okna.

On stał jeszcze, niemy, rażony jakby piorunem, niewiedząc co mówić i czując tylko że położenie jego jest zarówno dramatyczne, jak śmiészne. Poczuł to dobrze, że nastrój tragiczny jego wyrzutów poprzednich wytężył się zbyt silnie... i pękł, jak bańka mydlana. Grot obrócił się przeciwko niemu... Cóż było czynić?

— Helenko — rzekł po chwili głosem niepewnym. — To bardzo dziwny zbieg okoliczności, które potrzebują wyjaśnienia... Zechciéj posłuchać..

Ona żywym ruchem powstała i przeszła się parę razy po pokoju.

— Było to tak... Chcąc się przekonać, czy mnie kochasz...

Piękna pani stanęła w téj chwili przed mówiącym i wlepiła weń spojrzenie chłodne, obojętne, a mimo to przeszywające do głębi duszy.

— Mów... mów dalej — rzekła głosem pewnym — słucham tego objaśnienia, które jednakże zgóry uważam za... kłamstwo! Mów śmiało. Mogę być aż tak naiwną, iż ci uwierzę znowu, jak przed godziną, gdyś mi przynosił owe brylanty.

— Oto... ale po co tu tłumaczenia. Wina po obu stronach — dodał pewnym już głosem małżonek — i jeżeli potrzeba objaśnień... żądam ich także.

Ona odeszła o parę kroków, usiadła znowu na kozecie i wsparła głowę na dłoni. Nie mówiła nic, tylko zbladła jak chusta, a potém głucho załkała.

Mężczyźni bywają... czasami okrutni aż do dzikości. To łkanie pani Heleny przywróciło całą przytomność jéj mężowi. Zbliżył się ku niéj teraz, jak kat do swojéj ofiary, i rzekł głosem przytłumionym.

— Teraz ty mów... na Boga, nie tając nic. Czekam...

— Dobrze więc, powiem wszystko. Ten człowiek, który ztąd wyszedł niedawno, jest zbyt prawym i szlachetnym, aby szukał miłości u cudzego ogniska. Przyszedł tu po to, aby mi powiedzieć, iż życie jego idzie gościńcem czynu i zasługi; że wspomnieniom młodości winien wszystko, że zresztą... wspomnienia te, jeśli nie zamarły w duszy jego, to żyją jasne, czyste, święte. Znieważyłeś go posądzeniem... a może i słowem, a przecież gdyby była wina, to tylko po mojéj stronie.

— A!... więc przyznajesz!

— Przyrzekłam mówić prawdę i nie ukrywam nic. Gdy on, w prostocie serca, przypominał chwile dawno już minione, ja... nie umiałam zrozumieć tego, jak należało. Czując żar tego grzésznego listu, który trzymałam w dłoni, zgnębiona fałszem i zdradą... o!... jakżebym chętnie słuchała cichych, ale szczérych słów uczucia! Potrzebowałam ich, aby się ukoić... nie pytając zkąd idą. I zdawało mi się że je słyszę, ale to była omyłka. Ten człowiek odszedł, a odchodząc, pożegnał mnie na zawsze. Mówił o wspomnieniach, o sielance młodości, o uczuciach których echo odzywa się czasami w piersi... a ja...

— A ty?...

— Ja... omyliłam się! Cóż chcesz... można się było omylić. Nie byłabym go posądzała nawet o prawość i szlachetność, tak jak nie posądzam o nie... ciebie.

Ta szczególna, otwarta spowiedź żony spadała wyrazami, jak kroplami rozpalonego ołowiu, na serce męża. Widział w téj chwili, że Helena ma prawo być szczérą, nie taić nic, nie lękać się niczego, że jego własny postępek upoważnia ją do téj szczérości. Cóż miał mówić?... Milczał, słuchając, a milczał tak, jak człowiek który do odezwania się wątka odnaleźć nie umie.

— Powiedziałam ci wszystko—ciągnęła dalej Helena. On odszedł, a prawdopodobnie nie zobaczymy się więcéj. Pozostała mi tylko gorycz przeświadczenia, żem zgrzészyła myślą, i tylko... przez omyłkę!

— Więc téj omyłki żałujesz?... — szepnął zdumiony, podchodząc ku niéj.

— Żałuję. Zdaje mi się że to zniewaga.. że miałam prawo odwetu, które trzymałam w ręku, a które uciekło... niepowrotnie. W téj chwili... pozostał mi tylko żal, gorzki, bolesny... Jeżeli mi chcesz uczynić łaskę, zostaw mnie samą. Potrzebuję namysłu, zimnéj refleksyi... abym odpędziła upojenie i... rozpacz.

„Więc ona nie żałuje grzéchu, lecz tylko omyłki?...— pomyślał mąż.—Mówi o prawie odwetu... szukała zemsty... a to wszystko przeciwko mnie... Ten list fatalny — ta... Hortensya, ten stosunek — a tutaj!... Gdzież ja, gdzież ona zajść może?"...

I oto znalazł się po tym namyśle u stóp swojéj żony.

— Przebacz mi — szeptał namiętnie — przebacz! Zgrzészyliśmy oboje, ale do mnie tylko należy prawo pokuty i zadosyćuczynienia. Zapomnij i przebacz!

Ona łkała cicho, serdecznie, tuląc rozpaloną twarz w dłoniach, odwrócona od niego.

— Przysięgam ci.. przysięgam na przyszłe nasze pożycie, które musi być czyste i jasne jak niebo wiosny, iż ty tylko jedna...

— O, nie mów tego — wiara moja złamana! — szepnęła głucho.

— Nie!... to był błąd chwilowy, którego wspomnienie nawet umrzéć powinno..

I zaklęcia pana męża odbijały się długo o ściany eleganckiego buduaru, aż wreszcie Helena uwierzyła i pochyliła się w jego objęcia z pocałunkiem miłości, tak gorącym, tak szczérym, jak jéj spowiedź.

* *
*

Młodzi małżonkowie dnia tego jeszcze opuścili kochaną Warszawę, która umié na każdym kroku podsuwać pokusy... niezdobytym sercom... Helena odjeżdżała szczęśliwa, rozmarzona, a żal poprzedni zmienił się w usposobienie tkliwe, rzewne...

Mąż był nią oczarowany. Mógłbym wam przysiądz, że kochał się w niéj teraz z całą siłą młodzieńczego zapału, czy jednakże dotrzymał przysiąg i obietnic — nie wiem!

To jednak pewna, że, jakkolwiek opisana scena działa się lat temu kilka, pan mąż dotąd nie uronił ani jednego różowego liściku. Chciejcie to uważać za symptomat niezachwianéj wierności.

St. M. Rz.

PYŁKI.

Zmiąwszy kilka kart papieru i odebrawszy życie pół tuzinowi gęsich piór — postanowiłem nie pisać dziś feljetonu a dać natomiast... koncert.

— Co? koncert! — wołasz piękna pani Juljo, patrząc przy tém zdziwioną parą źrenic...

— Tak jest pani dobrodziejko — koncert najformalniejszy w świecie koncert, choćby w sali Resursy Obywatelskiéj z początkiem o godzinie ósméj.. Czyż w tem co dziwnego.

— Naturalnie! pan który nie jesteś ani w jednym calu wirtuozem, pan który nie grasz ani na czarnych ani na białych klawiszach, pan którego denerwują skrzypce, który nie wiesz z jakiéj strony chwyta się wiolonczellę, ani też jakim sposobem dobywają się tony z fagotu, który nie trącasz strun arfich, nie trubadurujesz, nie deklamujesz, nie skaczesz wreszcie na linie... i pan, pan chcesz dać koncert?

— Tak i upieram się przy tem stanowczo. Chwilkę cierpliwości. *Bedenk ich die Sache so ganz genau...* jak tam w innéj okoliczności mówi bł. p. mój przyjaciel Heine,

to dziś nie potrzeba zupełnie talentu do wystąpienia z koncertem. Dziś potrzeba tylko... okazyi i preteksciku! Na sto koncertów, które strawić musi w obecnéj dobie Warszawa — blisko... połowa (koncertanci! podziwiajcie naszą pobłażliwość) — zapukała do względów publicznych nie mając do tego zupełnego prawa.

Dlaczegożby więc i mnie, dwom marnym, niezamożnym, źle i nieregularnie honorowanym literom, do końca feljetonów jakby z łaski przyczepionym, nie udało się urządzić koncertu?...

Poradzę sobie tu z pewnością i zobaczycie, jaki wam wyprawię koncercik.

Oto odziawszy się skromnie, lecz niemniéj uroczyście, zakołaczę do bramy tusculum któréj z naszych artystek dramatycznych.

Jak się zacznę łasić, kręcić, uśmiechać i ukradkiem łzy ocierać — doprowadzę w końcu z pewnością do tego, że pani Rakiewicz obieca mi odczytać jaką perełkę Szymanowskiego, że panna Deryng przyrzecze deklamację Ujejskiego, a panna Popielówna też się nie powstrzyma i wypowie coś z Ely...ego a coś z Bałuckiego.

Wracając z téj piérwszéj wyprawy wstąpię do Teatrzyku Dobroczynności, gdzie odszukam na amatorskiem przedstawieniu p. Gawalewicza, który w piérwszéj serji dobroczynnych reprezentacji, wyskoczył po nad swe otoczenie, jako wytrawny pełen talentu, artysta.

— Panie Gawalewicz! zrób mi pan jedną łaskę... drobną koleżeńską przysługę. Daję w tych dniach koncert i chce pana ubłagać, abyś przyjął w nim udział i oddeklamował mój wiersz liryczny p. t. „Nad strumyczkiem".

(W nawiasie mówię wam, iż wiersz ten w obec zbyt surowych formalistów będzie uchodził jako główny pretekst koncertu samorodnego talentu. Pst! tylko cicho.) Pan Gawalewicz wymawia się z wielką wprawą, biada nad tém, iż od chwili, w której mu się udała rola lekkiego amanta, znosi sto wizyt dziennie różnych protektorek i mecenasek dobroczynnych, pragnących go zjednać dla swoich widowisk, wreszcie — rozczulony moim „Nad strumyczkiem" przystaje.

Ot i cztery numera deklamacyi — jakiéj by mi nie jeden pozazdrościł koncertant. Bierzmy się do fortepianu.

Józef Wieniawski mieszka bardzo ładnie przy ulicy Królewskiéj pod nr. 35. Wysiadam więc tu i składam wizytę pianiście, który właśnie w téj chwili wyprowadza do drzwi ośmiu długowłosych młodzieńców i cztery zamyślone dziewice — czyli razem sztuk dwanaście z rozpaczliwemi fizyognomiami do koncertanckich twarzy dziwnie zbliżonemi.

Skoro Wieniawski usiadł i otarł pot z czoła, zaczynam z nim mówić o Don Karlosie, w Hotelu Europejskim, o wieczorach muzycznych u Gebethnera, cieszących się powodzeniem, o sprawie zapisu Staszyca i zwiększonym formacie *Nowin niedzielnych* — aż wreszcie znudziwszy go obficie spowiadam się z celu mojéj inwazyi i wściekłym szturmem biorę znakomitego artystę. Będzie grać dwie transkrypcye lisztowskie.

O skrzypka nie było mi trudno. W gronie przedstawicieli tego przyjemnego instrumentu jest kilku młodych ludzi, o tkliwém sercu, których poruszyć już łatwiéj, w półgodziny więc miałem tyle przyrzeczonych numerów iż wahałem się, ażali zaprosić pp. Barcewicza, Kotka, Adamowskiego razem, czy jednego z nich tylko faworyzować?

Na rogu ulicy Czystéj spotkałem Filleborna, który mi także obiecał zaśpiewać „Lirnika" jak tylko będzie dysponowany a choć już na placu Teatralnym dogonił mnie jego posłaniec z odmową, nie wiele jednak miałem kłopotu, dwa tuziny bowiem „śpiewaczek przyszłości" ofiarowało mi swój współudział z godną zaznaczenia skwapliwością.

Gromadząc starannie numera programu, postanowiłem nadto ozdobić koncert czémś bardzo oryginalném i tu wpadłem na myśl zaproszenia p. Szulca, piérwszego skrzypka Teatru Wielkiego, a znakomitego przytém kontrabasistę. I tak ułożywszy z wszelkich „gałęzi" sztuki wzorowy program, począłem uporządkowywać... bilety!

Bilety tedy mógłbym złożyć w księgarni; wielokrotna jednak praktyka niektórych koncertowiczów, inaczéj poucza. Bilety zabiera się do... własnéj kieszeni, celem szybszego i pewniejszego ich w kurs puszczenia, lub daje się niezawodnym, wypróbowanym przyjaciołom, którzy z całą energią zajmą się ich kolporteryą.

Znam np. pewnego Izydora. Nie mógł się lepszy człowiek urodzić na przekupnia biletów koncertowych. Powiadają nawet, że ów Izydor rzeczywiście nie raz bierze na się mecenasa rolę, że chętnie w pieluszkach drzemiącym geniuszom koncertowym w ten sposób dopomaga.

Pan Izydor — a warto go widziéć — ma szczególną manjerę w aplikowaniu biletów.

Z przyjacielem teatru, który stroni od koncertów jak od złego powietrza, rozpocznie gawędę o sztuce, o spodziewanym przyjeździe wielkiego tragika włoskiego Rossiego, o „Hrabinie de Somerire" i o tryumfie, w sztuce téj panny Maryi Deryng *).

Wreszcie tak się z nim zgodzi, tak podzieli wszystkie jego zdania, tyle słuszności przyzna obserwacyom, że w końcu, gdy go zagabnie o bilet, rad nie rad przyjaciel teatru sięga do portmonetki i składa należny haracz.

Inaczéj znowu poczyna sobie z melomanem. Temu żywemi obrazami odmaluje rozpaczliwe nieraz położenie włoskiéj opery a choć przyzna pannie Saurel w „Traviacie" pewne zalety, za to jednak potępi „Aidę" i nakłoni go do szukania prawdziwéj muzyki tylko na... estradzie koncertowéj.

— Zapewne pani dobrodziejka... mówi ów Izydor... zechce poprzeć obiecujący talent feljetonistowski, który dla dalszego kształcenia „Pyłków" zamierza udać się za granicę!

Ot i trzeci bilet sprzedany osobie pięknych porywów i miękkiego serca.

— Młody człowiek... ciągnie daléj Izydor w obec innéj niewiasty... młody człowiek, który występuje dziś z koncertem, godzien jest współczucia. Już młodzieńcem siérota, przebijać się musiał przez te ciernistе drogi żywota...

I zanim dokończy frazesu czwarty bilet przenosi się z jego zawsze pełnego portfelu do rąk słuchaczki.

A Izydorów takich wielu, wielu. Nawet ty pani Julio... przyznaj się do tego otwarcie... niejednokrotnie dopuszczałaś się w intencyi zbycia biletu zamachu na kieszeń swoich najuniżeńszych wielbicieli.

Bilety prawie wszystkie sprzedane. Resztą drobnych szczegółów zajmie się p. Daniel Nierenstein.

Pan Nierenstein jest to nasz Strakosch, ma on zaś tę wyższość przed wymienionym właśnie amerykańskim impresariem, iż tamten odkrył już jedną Patti i drugi raz z pewnością jéj nie odkryje a nasz Strakosch dotąd nic nie odkrywszy dzieła tego jednak dokonać w przyszłości może.

Pan Nierenstein jest człowiekiem, uprzejmym, obrotnym, zna ścieżki do wszystkich redakcyi, formalności załatwia parą i tak koncert przychodzi do skutku.

Co miało śpiewać — śpiewa, co grać miało — gra, deklamatorowie — deklamują, koncertant jakikolwiek by on był, zagłuszony zostaje oklaskami, obrachunek kassy, nazajutrz recenzenci przelewają wodę z jednego dzbana w drugi i koncert skończony.

....Więc bardzo proszę nie dziwić się, gdy podpisany ogłosi swój koncert, ale raczéj rozchwytać poleca się bilety. *Samiel hilf!*

tc.

---

*) Sensacyjna sztuka ta przez niewiadomą nam osobę tłómaczona jest tylko jedném polem popisu dla artystki, a zresztą robotą tandetną.. (luźny przypisek).

FAŁSZYWE BLASKI.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,

ZOFII MELLEROWEJ.

(*Dokończenie*).

LEONORA (*uderzona myślą*). Ah, lecz skoro nieprzyjęty, zatem studjowanie roli, było kłamstwem wymyśloném dla zamaskowania prawdziwych stosunków. Znajomość owa i dedykacja nie w interesie sztuki zrobione, w jakimże tedy celu, mów, w jakim?

FILIP. Nie wiem, jak babcię kocham.

LEONORA. Mów, mów!

ŁUBIN. Ah, jakżeś okrutną!... w takiéj chwili! odrzucony!

LEONORA. Zgaduję! więc mię zdradzasz! oh! to nikczemnie!

ŁUBIN. Co za podejrzliwość! Dedykacja owa niemniéj była w interesie dramatu, tylko dla innéj artystki, z innego teatru.

FILIP (*z roztrzepaniem*). Dla Flory z Eldorado.

„O jasnowłosa,
Córo Heljosa!"

LEONORA. Rozumiem! oh!

ŁUBIN. Widzisz smyku do czego doprowadziły twoje głupstwa!

LEONORA. O, to już tylko ostatnia kropla przepełniająca miarę goryczy!... Ty sam każdodziennie część zasłony zdzierałeś mi z oczu.

ŁUBIN. Ja?

LEONORA. Pięknieś głosił piękne zasady, aleś postępował wręcz przeciwnie... Bolałeś nad mojem położeniem przy człowieku nie dość prawda ukształconym, lecz z gruntu uczciwym, a sam jaką zgotowałeś mi dolę?... Pierwéj otoczona szacunkiem, przywiązaniem, dostatkiem, przyjaciołmi, żyłam swobodna, nieświadoma nawet lepszego losu—zjawiłeś się ty, jak szatan dmuchnąłeś sarkazmem i pokusą na skromne nasze ustronie i wnet zerwała się burza.. mąż w strapieniu, dziecko zaniedbane, dom opuszczony, ja w obłąkaniu! Nakoniec, gdy po wielu krwawych ciosach weszłam pod twój dach, cóż zastałam?

ŁUBIN. I cóż tak strasznego?

FILIP (*na str.*). Ciekawym...

LEONORA. Obojętność, przesyt, drwiny z wszystkiego co człowiek przywykł szanować jak świętość; zarozumiałość, egoizm posunięty aż do okrucieństwa, w dodatku płochość, kłamstwo, niedostatek, zdradę!

ŁUBIN. Wyrzucasz mi ubóstwo, toż się za bogacza nie przedstawiałem.

LEONORA. Ależ się mianował poetą, to jest człowiekiem gorącego serca, szlachetnych dążności, podniosłych idei!... Przyrzekałeś umysł mój ukształcić, serce uzacnić, duszy ukazać obszerniejsze widnokręgi. Jak ku światłu kwiat, jam się ku tobie zwróciła... Gdzież twoja wyższość w praktyce życiowéj?... *Idealizmem*: zwie się u ciebie lekceważenie nieodzownych potrzeb; *niepodległością*: wstręt do pracy i obowiązków; *prawem*: własne zachcianki; *wyższym poglądem*: brak wszelkich zasad; *fantazją*: cyniczne wybryki!... Wszystko depczesz nic nie miłując!... Nie tak postępuje człowiek prawdziwie wyższy... tyś zbrukał talent. Nie pieśniarz, lecz cygan jesteś, nieokiełznany cygan, żyjący bez pracy, bez praw, bez obowiązków, bez Boga!

FILIP (*na str.*). Daj ją katu a to się zaperzyła!

LEONORA. Z takiem usposobieniem nie należy się żenić przynajmniéj. Nie godzien rodziny, kto dla niéj nie umie się poświęcić.

ŁUBIN. Na honor, z ciebie artystka nie lada! Co za rysunek! jak gorący koloryt, jakie światłocienia! Szkoda tylko że z tego obrazu wyszedłem od djabła czarniéjszy.

LEONORA. Twoje szyderstwo mię nie dotknie, za wiele już przecierpiałam!

ŁUBIN. Moja droga, dla kamerdynera nie ma bohatera. Na te sążniste tyrady odpowiem jedynie, że nazbyt jesteś exaltowana, skutkiem czego popadasz w krańcowość. Jak poprzednio uroiłaś sobie niebywałe we mnie doskonałości, tak teraz odzierasz ze wszystkiego. A ja znowu tak zły nie jestem, trochę za lekki może i nie dość systematyczny, ot i wszystko. Że zaś w moim wieku niełatwo się odmienić — nałogi wyrobiły mi drugą naturę — więc przyjmij jak jest i idźmy, zgodnie razem, skorośmy się złączyli.

LEONORA (*stanowczo*). Nie pójdziemy razem.

ŁUBIN. Hę? co?

LEONORA (*mocniéj*). Nie pójdziemy razem.

FILIP (*na str.*). Może ona zakochała się we mnie, w mojéj odwadze... bom chwat co się zowie!

LEONORA. Pojadę do ciotki i tam wraz z Ewunią i Janową żyć cicho będziemy.

ŁUBIN. Żartujesz!... Mogłażbyś mię porzucić, Leno, żyć sama!

LEONORA. Z tobą stokroć gorsze męki.

ŁUBIN. Utracić ciebie to niepodobna! tyś się niezastanowiła Leno!..

FILIP (*ciszéj do Łubina*). O cóż ci chodzi, gustujesz przecie w Florce?

ŁUBIN. Glupiś, setki Florek nie zastąpią jednéj takiéj jak ona kobiéty, (*do Leny*). Błagam cię Leno, zastanów się... Co świat na to powie?

FILIP. Opinja? jeden baran pomnożony... nie jakto?... eh, zgoła że tém się gardzi!

ŁUBIN. Słuchaj, sprowadziemy Ewunię, przyjmę urzędowanie, wezmę się do pracy, zerwę z przeszłością.

LEONORA. Za późno, za późno.

ŁUBIN. Bałamutną, nieporządną naturę, ujmę w karby obowiązku... przysięgam!

LEONORA. Choćbyś chciał, nie wytrwasz, brak ci charakteru.

ŁUBIN. Litości, przebaczenia, Leno!

LEONORA (*śmieje się ironicznie*). Ha, ha, ha, żądasz przebaczenia! ha, ha! Czy przebaczyłbyś djamentowi, któryby po bliższéj uwadze, okazał się prostem szkłem? Odrzuciłbyś go precz, żałując jedynie, żeś nad wartość przeplacił. Podobnie ja zawiodłam się na tobie!... Nie rozumiem przebaczenia, znam tylko rozczarowanie.

ŁUBIN. Surową jesteś, każdy zbłądzić może.

LEONORA. Zbłądzić — lecz nie błądzić ustawicznie.

ŁUBIN. Jednak mimo wszystkich moich wad, ja cię kocham, kocham, kocham Leno ubóstwiona!

FILIP (*na str.*). Szacowne zdrowie nikt się nie dowie... Jako smakujesz...

LEONORA. Już mię nie złudzi twój głos melodyjny, świetne paradoksy, ani profil grecki... Zabita wiara nie zmartwychwstaje a z nią i miłość przepada. Żegnaj więc.

ŁUBIN. O nie! nie! po tysiąckroć nie!

LEONORA. Żegnaj, (*z litością*), biédny cyganie, (*oddala się zwolna*).

ŁUBIN. Ha! więc ja istotnie upadłem tak nisko!... tak nisko!

FILIP. Jak babcię kocham już wiem co ona lubi! Mężów w trąbę puszczać lubi!

SPORT.

Stadnina książąt Sanguszków.

(ciąg dalszy).

Z dawnych wiadomości o stadach w Sławucie, Chrestówce, Czerkasach i Tarnówce które w rapportach Rybińskiego, ojca jenerała podpisującego takowe czerpiemy, okazuje się, że dawniéj stada te prowadzone będąc dowolnie, były zbieraniną i zmięszaniem rozmaitego rodzaju pochodzenia koni, gdzie przeważała zwykle krew wschodnia.

Ratowało stada te od upadku to tylko, że w dawnych czasach podczas napadów tatarskich i tureckich, rodziny bohaterskie jako to ks. Koreccy, Wiśniowieccy, Ostrogscy, Sieniawscy i t. p. stając w obronie ojczyzny miały sposobność zdobywania podczas tych wojen nieraz i oryginalnych arabów, które wytwarzały u nas wyższą rassę wschodnich koni.

Sieniawscy przy podziele majątków w zeszłym jeszcze wieku, otrzymali część stada Sieniawskich w Grzymałowie i Satanowie, które się utrzymywało jeszcze w piérwszych 18 leciech XIX wieku.

Nie było tam żadnego wytkniętego kierunku, żadnego systematu w prowadzeniu stada; wszystko szło trafem, niebyło też i rassy w tych koniach; wytworzenie zaś dobrych i wytrwałych koni wynikło z warunków sprzyjających hodowli koni na Ukrainie i Wołyniu, oraz w skutek konieczności utrzymywania dobrych do obrony kraju koni.

Starano się więc o najlepsze do wojowania konie, ale niezwracano uwagi na ich pochodzenie.

Gdy stosunki polityczne kraju z Turcyą wytworzyły przy końcu wieku XVIII możebnemi podróże przez Jassy i Mołdawię, wielcy panowie polscy, posiadacze stad, poczęli wysyłać do Konstantynopola swych ludzi za kupnem ogierów. Ks. Czartoryski generał Z P., Szczęsny Potocki, który wysłał znanego wówczas w dziejach chodowania koni Obodyńskiego, ks. Sanguszko wojewoda wołyński który wysłał Kajetana Burskiego, byli piérwszemi, którzy ogiery krwi wschodniéj sprowadzali.

Czy starania Burskiego były szczére, jak im przeczono, czy czasu nie tracił na bawieniu się, jak go potém posądzono, rezultaty z wyprawy jego najlepiéj nas przekonywają.

Burski w liście ze Stambułu 3 lipca 1803 r. donosi „że narobiwszy wydatków nieznalazł koni w Konstantynopolu i że wskutek tego jedzie do Alepu: wszyscy albowiem radzą mu to uczynić, jeżeli chce koni wschodnich dostać.“

Podróż taka w owym czasie była arcy trudną i niezmiernéj odwagi i przezorności wymagała. Dla tego też poświęcenie się Burskiego i myśl jechania do Alepu, czy ta wychodziła od Burskiego, czyli też od ks. wojewody wołyńskiego, który do wykonania jéj przyczynił się, zawsze na uznanie potomności zasługuje.

Burski pisze daléj: „pragnę ja zrobić tak jak sługa szczerze przywiązany do pana; *ryzykować życie moje, aby uczynić dość woli pańskiéj; czego drudzy nie robią!*“

Mówi daléj: „że księcia Adama Czartoryskiego koniuszy Obodyński, i inni koniuszowie, wolą stracić względy panów swoich, niż na niebezpieczeństwo narażać się.“ Ten list i ta okoliczność są w tém dla stada ks. Sanguszków ważne, że wykazują początek usiłowań trzech pokoleń sprowadzania koni z Arabii, podstawę wartości stada ich i specyalności w tym względzie do imienia ks. Sanguszków przywiązanéj.

Syn ks. wojewody wołyńskiego ks Eustachy Sanguszko, był wierny i stały początkowi zrobionemu przez ojca, i rozszérzał go stałemi stosunkami z Arabią. Wysłał na wschód Tomasza Moszyńskiego swego koniuszego († w Sławucie 1858 r.).

W instrukcyi którą mu dał, ciekawsze szczegóły były takie: „Na sprosne życie ludzkie, w pokojach i łóżku, przypadki się trafiają; w podróży tak odległéj tém silniéj imaginacya takowe wystawia; wszelako mogę zapewnić, iż nikt bez przeznaczenia nie doszedł swego końca.“ Ta instrukcya pisze późniéj: „4 tysiące dukatów i rubli pięćset na kupienie koni i na ekspens przeznaczam. Temi czterema tysiącami dukatów rozrządzi Moszyński, jak mu się zdawać będzie. Trzy konie stadne a jednego Juchę z Juchów pod moją osobę i mój wiek, a bardzo zręcznego radbym, aby mi przyprowadził.“

Były to czasy tanich koni, osobliwie w Arabii, zkąd do Europy mającéj jeszcze w owym czasie jazdę klassyczną szkoły Laguerrinière, a niemiecką szkoły Göttingeńskiéj, nigdy nie zakupywano koni arabskich; w Anglii tylko oryginalne araby pokazywać się już zaczęły, i od nich to rassa angielska początek swój wzięła.

Moszyński lądem konie sprowadził z Arabii, chociaż droga ta była dość trudna i niebezpieczną z początku, wszelako dogodniejszą okazała się w następstwie; w tych samych miejscowościach w Arabii w lat 28 późniéj, ks. Roman Sanguszko starszy robił zakupy koni i tąż samą drogą co i Moszyński, konie swe z Arabii prowadzić rozkazał.

Moszyński szczérze i troskliwie wykonał poruczone sobie przedsięwzięcie. Dnia 22 grudnia 1818 r. prawie w 2 lata po wyjściu zdawał rachunek pieniężny. Ciekawe też są ceny za konie lat temu 59 płacone. Moszyński pisze: „Wziąłem z kassy sławuckiéj i ilinieckiéj na kupno koni i na całą podróż 4,700 dukatów, które zmienione, dukat po 14 lewów, czyni lewów 65,800. Na kupno koni wydał lewów 31,550; a na podróż tam i nazad 33,544 lewów. Do pomocy miał koniuszego Franciszka Swierczyńskiego i 3-ch kozaków stajennych.

Konie sprowadzone były następujące: Bejan nazwany dużym, kosztował w Alepie 3,150 lewów. Dziedran w pustyni Hama kupiony za 2,200 lewów; piérwszy był gniady, drugi kasztanowaty i w lat kilka potém był odstąpiony do stada królewsko-pruskiego w Neustadt. Rabdan siwy w Hama kupiony za 3,700 lewów. Haylan biały, piérwszy koń téj partyi i prawdziwy założyciel stada ks. Sanguszków, był zapłacony w Damaszku 3,500 lewów. Seglawi gniady był kupiony za 2,000 lewów. Dzielfa szpakowaty w pustyni Babak za 1,300 lewów. Kbeszan, źrebię szpakowate kupiony w pustyni Babak za 700 lewów. Seglawia kobyła kasztanowata 2,000 lewów. Semrani Seglawi kasztanowaty w Stambule nabyty za 2,800 lewów. Neżdy siwy w Stambule kupiony za 10,200 lewów.

(*dalszy ciąg nastąpi*).

Polowania. *Hr. Konstanty Branicki na Kaukazie.* Polowanie na grubą zwierzynę dawniéj, stworzyło sławę i tradycyę głośnych owego czasu Nimrodów.

Potykanie się z turem, łosiem, dzikami lub niedźwiedziem stanowiło niejako próbę męzkości i należało do najbardziéj pokuszających dla mężczyzn rozrywek. Z polowaniem obok przyjemności łączyło się pojęcie pewnych przygód, silnych wrażeń, rodzaju walki i zmierzenia własnych sił i odwagi.

Dla saméj materyalnéj korzyści komuby się tam z dzielnych myśliwych chciało było włóczyć po kniejach i ostępach? Podlejszą zwierzyną czeladź się z kijem i ruszn cą zabawiała, mając staranie o zapasach dziczyzny dla pańskiego stołu.

Iść na kieł odyńcom, albo w uściski kosmatego bartnika, to dopiéro było sztuką dawnych Nimrodów.

Bywali tacy nawet co napolowawszy się już do syta w zwyczajnych warunkach zapragnęli czegoś nie powszedniego, czegoś co niebezpieczeństwem trąciło zdaleka, igraszki z życiem nie już z kilkoma żebrami tylko, albo małém kalectwem.

Zapaleńców nęciły łowy awanturnicze w nieznanych krajach, inną bronią, pod inném niebem. Dzika pantera, lew, tygrys — to dopiéro godny przedmiot sztuki łowieckiéj w obszerniejszém znaczeniu. Nie każdy mógł i umiał porwać się do tego.

Bądź co bądź, chociaż nazywano to awanturniczością, dziwactwem — niemniéj podziwiano człowieka, który miał odwagę choćby raz w życiu zajrzeć w zaognione ślipie dzikiego mieszkańca pustyni.

Co prawda, niewielu téż porywało się na taką sztukę, bo pominąwszy nieodzowne warunki majątkowe dla takiéj wyprawy, potrzeba było jeszcze mieć w sobie to szczególniejsze zamiłowanie i rzadkie warunki przyrodzone do narażania się na podobne hazardy.

Z czasem zaprzestano wszystkiego co ryzykowaniem się nazywało. O przygodach w afrykańskiéj puszczy nikt nawet nie marzy; na szaraka we własném polu niechętnie się już strzelbę podnosi, cóż dopiéro mówić o potykaniu się z tygrysem?

Dla tego to, kiedy się zdarzy ktoś, co ponad tę normę wystrzeli wysoko, choćby go ekscentrycznym nazwano, budzi zaraz ogólne zajęcie i podziw graniczący z niewiarą.

W naszych czasach żyje jeszcze kilka osobistości, niezrównanych pod tym względem do ogólnego poziomu.

Diana miałaby jeszcze komu przypiąć laurowe liście do myśliwskiéj czapki.

Na czele postawmy znanego w świecie łowieckim podróżnika, doświadczonego w przygodach po innych częściach świata hr. Konstantego Branickiego, którego ostatnią wyprawę myśliwską z udzielonych uprzejmie nam szczegółów opowiedzieć zamierzamy, jako przedsięwzięcie w dzisiejszych czasach niezwykłe, hazardowne i dla myśliwych nader ciekawe.

Hr. Konstanty Branicki słynny w całym świecie, z odbytych przed laty świetnemi uwieńczonych rezultatami łowów na lwy i tygrysy w Afryce, jak niemniéj z kilku wypraw do téj części świata w celach naukowych przedsiębranych, znakomity sportsman w dziedzinie rybołóstwa, któremu oddaje się z całym zapałem, jeżdżąc w tym celu po całéj Europie, nieopuszczając nawet obfitującéj w łososie Szwecyi, przedsięwziął w roku zeszłym wspólnie z przyjaciołmi swemi p Władysławem Markowskim, właścicielem dóbr na Ukrainie i p. Stanisławem Rembielińskim właścicielem Krośniewic w królestwie, oraz doktorem medycyny Horochem z kijowskiego uniwersytetu, wyprawę myśliwską na Kaukaz.

Hr. Branicki oprócz przyjemności jaką obiecywał sobie w polowaniach odbyć się tam mających, wziął sobie za zadanie wzbogacić i wiedzę nowemi odkryciami na polu zoologii, i w tym celu zabrał z sobą swego zdolnego bardzo wypychacza zwierząt i zarazem strzelca nadwornego Wysockiego, który wraz z drugim strzelcem p. Rembielińskiego, kucharzem i człowiekiem do posług, składali służbę pomienionéj wyprawy.

Ruszono więc 28 Sierpnia 1876 r. z Białocerkwi przez Kiersk, Charków, Rostow nad Donem, koleją żelazną do Władykawkazu, zkąd na kołach myśliwi dostali się do Tyflisu, gdzie dni 4 po nużącéj podróży odpoczywali.

Dnia 9 Września z Tyflisu wyruszono równo ze świtem do miasteczka Łagodechy, o 150 wiorst od Tyflisu odległego u stóp gór położonego.

W Łagodechy zamieszkuje naturalista Młokosiewicz, znany w świecie uczonym z odkrycia nowego gatunku cietrzewia, który też nosi nazwę „Teatran Młokosiewiczy.“

Uczony nasz zajął się natychmiast ulokowaniem przybyłych gości; a ponieważ miasteczko Łagodechy służyć miało za punkt centralny do wypraw myśliwskich, wynajął więc dom z officyną i ogrodem w środku miasta położony.

W temże miasteczku mieszka odznaczający się niezmierną gościnnością książe Gruzinski Czołokajew, który, jako znakomity myśliwy i amator wszelkiego rodzaju polowań oddał się całkiem na usługi naszych myśliwych

i czynił wszelkie możliwe starania, ażeby pobyt im na Kaukazie uprzyjemnić.

Piérwszego więc zaraz dnia, zajęto się przygotowaniem odpowiednich naboi do strzelania wszelkiego rodzaju zwierząt potrzebnych, oraz żywności zabrać się w góry mającéj.

Noc myśliwi nasi bardzo złą spędzili, a to powodu ciągłego wycia szakali podchodzących o zmroku pod same domostwa. Jak to już bowiem wyżéj powiedziałem Łagodechy leży u stoku niebotycznych gór, porosłych dziewiczemi nieprzebytemi lasami, w których wszelkiego rodzaju dzikie zwierzęta, a pod miastem głównie szakale zamieszkują.

O wiorstę już od miasta spotkać się często można w górach z dzikami, jeleniami, szakalami, szczególniéj zaś z niedźwiedziem w znacznéj ilości w tych okolicach znajdującym się.

Niedźwiedzie, których jest tu kilka gatunków zarówno zamieszkują góry jak i doliny; a pomiędzy niemi znajdują się niektóre tak wielkie, że massywnością swoją dorównywają największym litewskim współbraciom swoim.

Polowanie wszakże jest tu bardzo utrudnione z powodu niepodobnych do przebycia gęstych lasów; a kolce od dzikich malin i innych pnących się roślin czynią niemożliwém wystawianie przez wyżły zwierzyny, témbardziéj zaś jeszcze podnoszenie takowéj.

Myśliwi nasi przywieźli z sobą dwa psy, cetery i jednego pointera, a prócz tego otrzymali pozwolenie od władzy używania Lezginów do obławy i polowania.

Wyprawa więc piérwszego zaraz dnia podzieliła się na dwie części z których jedna strzelała przed psami bażanty, w nadzwyczajnéj ilości tam znajdujące się; druga zaś część udała się do miejscowości przez niedźwiedzie nawiedzanéj.

P. Rembieliński stanął na czatach pod wiśniowém drzewem, którego podłużny owoc stanowi jeden z lepszych specyałów dla niedzwiedzi, i słodyczą swoją przyciąga ich do siebie Wiśnie te są bardzo smaczne i przez ludzi z przyjemnością spożywane.

Obławę składało 30 Lezginów, pomiędzy któremi znajdowali się dymissyonowani żołnierze, wielcy amatorzy polowania.

Rezultat nie był tu pomyślny, nieznaleziono bowiem niedźwiedzia i prócz zabitych kilkunastu bażantów przez należących do tamtéj części, wyprawy, pierwszy dzień nieprzyniósł zdobyczy w grubéj zwierzynie.

Przez dni 8 robiono wyprawy z Łagodech z mniejszém lub większém szczęściem, ale z powodu trudności z jaką obława w gęszczach przedostawać się musiała, zaniechano polowania z obławnikami i postarano o psy gończe miejscowe.

Jak tylko myśliwi nasi otrzymali 6 psów gończych, rozpoczęli natychmiast seryę wypraw w dalsze okolice nad brzegami jezior położone a w stronie Kubachczol znajdujące się, które kolejno po 5 lub 6 dni trwały.

Lezgini którzy tu po większéj części w charakterze strzelców występowali, niestrzelają nigdy inaczéj tylko do stojącego zwierza; tym więc sposobem rzadko kiedy sposobność strzelania im się tu zdarzała; przed psami, albowiem zwierzyna umykając, tylko przez naszych myśliwych strzelaną bywała; zabito w téj stronie 6-ciu dzików, 3 jelenie, 6 szakali i sarn 12; hr. Branicki zabił tu 2 dziki a p. Rembieliński jednego.

Po powrocie myśliwych do Łagodechy, przybył tam również niejaki Bakrazy Gruzin, właściciel ziemskiéj posiadłości na Kaukazie, znakomity w tamtych stronach myśliwy, nieraz już przez niedzwiedzie poturbowany, a tak przytém zacięty ich tępiciel, że na setki zabitych przez siebie kosmatych bartników policzyć by mógł.

Ofiarując się na usługi wraz z 10-ma przyprowadzonemi przez siebie psami gończemi, Bakrazy, zaproponował polowanie na tury i dzikie kozy; myśliwi zatém udali się w góry 11,000 stóp nad poziom morski wysokie i tam pomimo nieprzebytych przeszkód i trudności w dostaniu na strzał tura lub kozy, ubito 4 tury i 2 kozy.

Góry te niezmiernie wysokie mają szczyty swe pozbawione lasów i w ogóle bujnéj roślinności, a prócz nizkich traw i urwistych skał nic tam niéma, dostęp zatém do zwierzyny jest trudnym niezmiernie, zwierzyna bowiem jest bardzo ostrożna, szczególniéj tury, które tam stadami po sztuk 200 chodzą.

Pomimo to, z liczby zabitych 4-ch sztuk, tutejszy gabinet zoologiczny wzbogaconym został jednym wspaniałym okazem tura.

Na téj niezmiernéj wysokości, do przebycia któréj użyto 2-ch dni na wejście, dzień jeden na zejście, a 3 dni na polowanie, Wysocki zastrzelił 2 kuropatwy arcy rzadkie i trudne do zabicia. trzymają się bowiem na szczytach skał pokrytych śniegami, są więc prawie niedostępne

Kuropatwy te znane pod nazwiskiem „Megalo-Perdix“ znajdują się w gabinecie zoologicznym; są one olbrzymich rozmiarów; o wiele bowiem większe są od bażantów.

Schodząc z gór, myśliwi zastrzelili kilka sarn, strzelano téż do dzików ale bezskutecznie.

Expedycya ta dni sześć trwająca, niezmiernie zmęczyła myśliwych, którzy téż po jedno-dniowym odpoczynku, udali się w okolice wsi Biełakany o 30 wiorst od Łagodechy, odległéj, gdzie polowano dni kilka.

Hr. Konstanty Branicki zastrzelił tam niedzwiedzia; doktór Horoch przestrzelił innemu niedzwiedziowi nogę, którego dobił p. Rembieliński, psami zaś zaszczuto 2 niedźwiedzi mniejszego gatunku; prócz tego padło tam kilku dzików, sarn i jeleni oraz kilkadziesiąt sztuk bażantów.

Najgorszym zaś rezultatem tych polowań okazała się febra, któréj myśliwi nasi dostali; febra w niektórych miejscowościach na Kaukazie śmiertelną bywa. Nieczekając więc dalszych jéj skutków natychmiast nasi myśliwi w drogę ruszyli i niezatrzymując się nigdzie, do Białocerkwi powrócili.

Polowanie to aczkolwiek świetne w rezultaty, w kraju zupełnie nieznanym ale bogatym w krajobrazy i niezmiernie malowniczym, niemoże nigdy iść w porównanie z polowaniami na lwy w Afryce, przez hr. Konstantego Branickiego dokonanemi, gdzie osobista odwaga i ciągłe wystawianie życia swego na szwank, szły w parze z przyjemnością zastrzelenia kilku lwów podczas skwarnych nocy letnich, tego afrykańskiego piekła.

Polowania te na lwy, o których tkwią nam jeszcze w pamięci opowiadania hr. Konstantego, spodziewamy się wkrótce skompletować i ogłosić. Są one arcy ciekawe i obfite w epizody dotąd małéj liczbie osób znane.

Miscellanea. Marszałek Lefebvre pomimo zarzucanéj mu naiwności, znakomicie znajdował się w rozmaitych okolicznościach.

I tak razu pewnego, przybył do niego jakiś przyjaciel lat dziecinnych, który zachwycony będąc okazałością mieszkania, znakomitą kuchnią i świetném przyjęciém jakiego doznał, nieprzestawał powtarzać „Jakżeż szczęśliwym jesteś panie marszałku.“—Widzę odpowiedział Lefebvre zwykłym swym alzackim akcentem, że zazdrościsz mi tego co posiadam; otóż jeżeli chcesz, to odstąpię ci to w sposób o wiele tańszy od tego, w jaki wszystko to zdobyłem; — wyjdziemy tylko na podwórze, palnę do ciebie ze 20 strzałów karabinowych na kroków 30, a jeżeli niezabiję cię w ten sposób, to wszystko co posiadam do ciebie należeć będzie. I cóż ty na to? Niepodoba ci się moja propozycya? A więc wiedz o tém, że za nim doszedłem do tego czém jestem; więcéj jak tysiąc razy strzelano do mnie i to na bliższą metę; odwagą więc tylko osobistą i szczęściem że mnie niezabito zdobyłem buławę marszałkowską i te dostatki które podziwiasz.

Marszałek Lefebvre, gdy piérwszy raz wystąpił w mundurze marszałka Francyi, spotkał się z przyjacielem swym Radcą Stanu, który chwalił bardzo piękność munduru.

— Spodziewam się, że musi być pięknym, skoro bez odpoczynku przez lat 35 przygotowywałem go do wdziania, a dziś po raz piérwszy mam go na sobie.

Tenże Marszałek rozgniewawszy się na pewnego magnata; rzekł mu:— Dumnym jesteś z tego, że masz antenatów, otóż wiedz, że ja więcéj znaczę; sam bowiem jestem antenatem i daję przez me męztwo świetny początek rodowy moim następcom.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:		Cena numeru pojedynczego kop. 20.
Rocznie	Rs. 10 kop. —	Rocznie	Rs. 12	
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6	
Kwartalnie	„ 2 „ 50	Kwartalnie	„ 3	



Weatherbit ogier pełnéj krwi angielskiéj.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski** — Дозволено Цензурою, Варшава 16 Февраля 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa Nowolipki Nr. 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w kantorze drukarni J. Ungra, w Warszawie Nowolipki Nr. 3.